

kalejdoskop

01/2025 wojewódzki
magazyn kulturalny



Łódź

nr ind. 323489
ISSN 0860-3057
cena 5 zł
(w tym 5% VAT)



Artur Domosławski
odbiera
Nagrodę Literacką
im. Juliana Tuwima
podczas gali
Festiwalu
Puls Literatury,
15 XII 2024

Fot. Joanna Glodek



Adam Fołtarz „Miasto”
– wystawa
fotomontaży cyfrowych
w Muzeum
Książki Artystycznej,
otwarcie 9 I

Na okładce: Patrycja Krzeszowska-Kubit jako Mimi
w „Cyganerii” w Teatrze Wielkim
– recenzja na str. 32
Fot. Joanna Miklaszewska

Adres redakcji

Łódzki Dom Kultury
ul. Dowborczyków 18, 90-019 Łódź
tel. 797 326 217
e-mail: kalejdoskop@ldk.lodz.pl

www.e-kalejdoskop.pl

Informacje o imprezach

prosimy przysyłać na adresy

kalejdoskop@ldk.lodz.pl
kalendarium@ldk.lodz.pl

Redakcja

Bogdan Sobieszek – redaktor naczelny
Aleksandra Tałaga-Nowacka

Projekt graficzny

Marta Krzemień-Ojak, Leniva° Studio

Skład

Aleksandra Gruszczyńska
Justyna Purczyńska-Zieleniewska

Druk

SilverPrint
ul. Gliniana 13
91-336 Łódź

Nakład 1300 egz.

Prenumerata

Nie mogą Państwo znaleźć „Kalejdoskopu”
w sklepie lub w kiosku?

Można zaprenumerować go w redakcji.

Wystarczy wpłacić na konto
Łódzkiego Domu Kultury
(44 1020 3352 0000 1002 0014 2562)
kwotę 98 zł, a poczta dostarczy
co miesiąc egzemplarz „Kalejdoskopu”
(jedenaście kolejnych numerów).
Na kalejdoskop@ldk.lodz.pl należy przesłać
swoje dane do wysyłki wraz z informacją,
od którego numeru ma się zacząć prenumerata.



łódzki
dom kultury

województwo ©
łódzkie

Instytucja Kultury
Samorządu Województwa
Łódzkiego

Bez Krzysia

Bogdan Sobieszek, redaktor naczelny

Obchody 50-lecia „Kalejdoskopu” mamy za sobą. Pół roku przygotowań, niepewności, czy się uda, rozmów, ustaleń, pół roku życia z jubileuszem z tyłu głowy i świadomością, że uruchomiliśmy maszynę, która ma wykreować wydarzenia jednego wieczoru tak, byśmy długo o nim pamiętali. 22 listopada przyszli goście, wspólnie spędziliśmy parę interesujących godzin. Były one dedykowane osobom, dzięki którym przez pół wieku „Kalejdoskop” nabierał formy i treści. Wszystko poszło zgodnie z planem. No, prawie wszystko. Kilka dni wcześniej zmarł nasz kolega Krzysztof Miniak, grafik, który przez ponad 30 lat łamał strony „Kalejdoskopu”. Był akuszerem ponad 350 numerów pisma. Czytał każdy tekst, zanim zamieścił go na stronie. Nierzadko na gorąco recenzował naszą pracę, a był surowym krytykiem. Dużo rozmawialiśmy też o muzyce, którą Krzysztof fascynował się jak mało kto. Był fanem starych zdjęć Łodzi. Pokazywał nam kolejne internetowe znaleziska, pytając: „Wiesz, gdzie to jest?”. Jednocześnie zawsze stał z boku, nie lubił zwracać na siebie uwagi. Gdy niespełna dwa lata temu przeszedł na emeryturę, po ukazaniu się każdego nowego numeru miesięcznika dzwonił do nas i dzielił się uwagami po lekturze. Podczas jubileuszowego wieczoru chciałem podziękować za jego bezprzykładne zaangażowanie i niezawodność, za to, że zawsze – w zdrowiu i w chorobie – mogliśmy na niego liczyć. Stres i nieoczekiwane komplikacje spowodowały, że przemawiając ze sceny, zapomniałem o tym. Nie mogąc do dziś sobie tego darować, czasem myślę, irracjonalnie sobie tłumacząc, że może Krzysztof wołał, by o nim nie wspominać. Gdy jednak zaczynamy kolejny rok „Kalejdoskopu” – bez niego – chcę zostawić ten jeden ślad. ¶

Spis treści

14 Przeczekać.
Mieczysław Kuźmicki

15 Marzeń trzeba namarzyć.
Andrzej Poniedziałski

Temat numeru

18 Świątowaliśmy

22 „Kalejdoskop”
mówiony

27 W starym kinie.
Łukasz Maciejewski

28 Korzenie na Pulsie.
Paulina Iliska

31 Wena czy forma?
Łukasz Barys

32 Przepych wśród cyganerii.
Magdalena Sasin

34 Trudno, świetnie!
Magdalena Sasin

36 Hotel z widokiem na Wisłę.
Michał Rzepka

39 Galeria Kalejdoskopu
– Nagroda
im. Katarzyny Kobro

45 Miasto. Katalog. Nagroda.
Piotr Grobliński



34



Fot. Dariusz Kulesza /
Akademia Muzyczna
w Łodzi

48 Świat, jaki jest i jaki będzie.
Aleksandra Talaga-Nowacka

52 Dzieje stare, ale ważne!
Piotr Kasiński

54 Dziecięca makieta świata.
Maciej Cholewiński

56 Czuli rzemieślnicy.
Dariusz Bilski

58 Artysta nie z tej ziemi.
Bogdan Sobieszek

60 Niespełniony spacer
Sztudyngera.
Bogumił Makowski

64 Ostatni lutnik Bałut.
Magdalena Roguś

67 Cuda w Pradze.
Maciej Robert

68 Kalendarium

54



Fot. Maciej Cholewiński

Świętowaliśmy

Znakomity koncert austriackiego duetu BartolomeyBittmann zwieńczył obchody jubileuszu 50-lecia istnienia „Kalejdoskopu”. W piątkowy wieczór 22 listopada w Sali Kameralnej Akademii Muzycznej w Łodzi spotkali się współpracownicy, przyjaciele i sympatycy „Kalejdoskopu”, przedstawiciele władz wojewódzkich i miejskich, instytucji kultury, uczelni artystycznych.

Na wstępie Bogdan Sobieszek, redaktor naczelny „Kalejdoskopu”, mówił o misji pisma, jaką jest relacjonowanie życia kulturalnego Łodzi i regionu, ale także sięganie refleksją do ważnych zjawisk ponadlokalnych. Podkreślił, że wydawany od 32 lat przez Łódzki Dom Kultury „Kalejdoskop” ukazuje się dzięki środkom publicznym, co redakcja traktuje jako zobowiązanie wobec społeczeństwa. Pismo musi odpowiadać na technologiczne wyzwania współczesności, docierać do odbiorców na wszystkie możliwe sposoby. Wyraził jednak nadzieję, że wciąż będzie istnieć nisza, w której „Kalejdoskop” znajdą osoby czytające nie tylko posty w swoich smartfonach, dla których ważny jest namacalny kontakt ze słowem drukowanym.

Następnie odbyły się trzy minipanel dyskusyjne, które poprowadziła (jak

zresztą całą uroczystość) Agata Gwizdała, dziennikarka telewizji Polsat i Radia Łódź. Zaproszeni goście rozmawiali o tym, co buduje prestiż łódzkiej kultury, co z kulturą zrobiły internet i sztuczna inteligencja, dlaczego jako społeczeństwo nie potrafimy się porozumieć, pogodzić różnych perspektyw. Pomiedzy częściami dyskusji wystąpił Barrels Cello Quartet – młodzi muzycy z pasją i zaangażowaniem wykonali utwory Aleksandra Tansmana, Marka Grechuty, zespołów Skaldowie oraz King Crimson. Kompozycja Tansmana napisana została na cztery wiolonczele, natomiast pozostałe zaaranżował na ten skład Wojciech Lemański, tworząc ciekawe nowe wersje z zachowaniem ducha oryginałów. Szczególny aplauz widowni wywołała wiązanka „Vroom / Vroom Vroom / Red” z repertuaru King Crimson, w której wiolonczele

Bogdan Sobieszek
i Agata Gwizdała
podczas powitania gości



świetnie oddały estetykę i klimat progresywnego rocka.

Absolutnym hitem uroczystości był występ duetu wirtuozów – Matthiasa Bartolomeya (wiolonczela) i Klemensa Bittmanna (skrzypce, mandola pięciostrunowa). BartolomeyBittmann to wykształceni muzycy, wykładowcy na Uniwersytecie Muzyki i Sztuk Sceniczných w Grazu oraz Mozar-

Maria Sondej, która współtworzyła redakcję „Kalejdoskopu” od 1974 roku, oraz Bogumił Makowski, najmłodszy stażem członek redakcji; z prawej – Maciej Świerkocki, pisarz i tłumacz



teum w Salzburgu. Oryginalne kompozycje duetu realizują nowe podejście do instrumentów głęboko przecież zakorzenionych w tradycji klasycznej. Jest w tej muzyce spontaniczność i jazzowa improwizacja, są elementy rockowego rytmu, a także klimat kameralnej ballady. Muzycy z Wiednia tworzą duet od 2012 roku i przez ten czas nagrali cztery albumy. Publiczność zgromadzoną na obchodach jubileuszu „Kalejdoskopu” zachwycili witalnością i energią nie mniej niż wirtuozerskimi popisami i głębią brzmienia. Ich utwory łączą niebanalną harmonię, wpadające w ucho

melodie, różnorodność sposobów artykulacji, bogactwo formy i dynamikę wykonania. Słuchacze porywały szalone, precyzyjnie i z wielką energią zagrane przebiegi. Innym razem wzruszeń dostarczały subtelnie, z czułością wykonane fragmenty liryczne. Klemens i Matthias potrafili nawiązać z publicznością bezpośredni kontakt, popisując się humorem oraz wieloma polskimi słowami i zwrotami. Nie będzie przesadą, jeśli powiemy, że oczarowali wszystkich.

Wieczór zakończył się zaproszeniem przez redaktora naczelnego do czytania „Kalejdoskopu” przez kolejnych 50 lat.

„Kalejdoskop” mówiony

Rozmowa o kulturze – tym określeniem posługujemy się, aby najkrócej opisać to, czym „Kalejdoskop” zajmuje się od 50 lat. Dlatego właśnie uznaliśmy, że musi stać się ona również ważną częścią obchodów naszego jubileuszu. W listopadzie zaprosiliśmy więc gości do salonu kulturalnego, gdzie Agata Gwizdała rozmawiała z artystami, naukowcami i dziennikarzami na tematy dotyczące współczesnej kultury i lokalnej społeczności.

Co buduje prestiż łódzkiej kultury?

Zastanawiając się nad tym pytaniem, Marcin Polak, artysta, aktywista, twórca i redaktor portalu Miej Miejsce, nie miał wątpliwości, że myślenie o promowaniu Łodzi zaczęłoby od Muzeum Sztuki jako

miejsca superprestiżowego – pierwszego muzeum sztuki nowoczesnej w Europie, drugiego na świecie. Niestety jego zdaniem miasto nie wykorzystuje potencjału tego miejsca, bo nie traktuje muzeum jako własnego, skoro jest ono zarządzane przez Urząd Marszałkowski. Inne mocne punkty

Marcin Polak
i Dariusz Pawłowski



łódzkiej kultury według Polaka to Centralne Muzeum Włókiennictwa, „w miarę dobre teatry”, tradycje awangardowe, wspaniali artyści i dobre uczelnie, środowisko, które organizuje ciekawe wydarzenia muzyczne. – Mam tu na myśli robiony przez Kubę Wandachowicza festiwal Domoffon, który przestał być organizowany ze względu na brak finansów. Nagle okazuje się, że Łódź sprowadza festiwale z zewnątrz, a jest to zupełnie niepotrzebne, bo Domoffon miał markę i kapitał, żeby takie prestiżowe wydarzenie zbudować.

*Chodzi o to, żeby
ludzie kreatywni
chcieli tu przyjeżdżać
i tu tworzyć, zostać
i rozwijać do miasto.
Łódź od początku
i wciąż jest obiecana.*

Dariusz Pawłowski, recenzent, wieloletni redaktor kulturalny „Dziennika Łódzkiego”, nie chciał wymieniać konkretnych wydarzeń czy instytucji. Stwierdził, że miasto powinno stworzyć odpowiednie warunki dla swobodnego rozwoju kultury – od samego dołu aż po najważniejsze instytucje. Należy przy tym odpowiedzieć sobie na pytanie, czym kultura jest i czym się różni od rozrywki. – Popularne festiwale muzyczne, jak Łódź Summer Festiwal (w którym uczestniczyło wiele tysięcy młodych łódzian) czy Great September Artura Rojka, to są kilkudniowe wydarzenia i nic po nich nie zostaje, a chodzi o to, żeby Łódź dzięki kulturze była atrakcyjnym miejscem przez cały rok, żeby ludzie kreatywni z potencjałem chcieli tu przyjeżdżać i tu tworzyć, tu zostać, rozwijać to miasto. Łódź od początku i wciąż jest obiecana. Ciągłe słyszę, że to jest miejsce z potencjałem, który jakoś się nie spełnia.

Rozmówcy Agaty Gwizdały zgodnie podkreślali, że kongresy kultury, debaty, które odbyły się w Łodzi, oraz strategię rozwoju kultury pisane na zlecenie władz miasta czy tytuł Miasta Filmu UNESCO nie doprowadziły do podjęcia decyzji sugerowanych przez wspomniane gremia i dokumenty. Marcin Polak podzielił się jednak z obecnymi optymizmem, jakim natchnęły go spotkanie z prezydent Hanną Zdanowską oraz rozmowy w Wydziale Kultury UMŁ. Pani prezydent co prawda zapowiedziała utrzymanie kursu na rozrywkę, ale obiecała dołożyć pieniędzy kulturze i zwiększyć fundusze na granty i stypendia.

Na pytanie prowadzącej, co powinno się zmienić, Polak w odpowiedzi postulował dystrybucję środków według określonych parytetów oraz dopuszczenie do udziału w podejmowaniu decyzji ludzi, którzy na co dzień tworzą kulturę w Łodzi. Jego zdaniem organizatorzy Festiwalu Łódź Wielu Kultur pokazali, jak to robić. Zaprośili kuratorów i zapytali, w jakim kierunku powinno to pójść, jak zaprojektować wydarzenia festiwalu. Według Pawłowskiego natomiast kultura nie powinna być przedsięwzięciem „eventowym”. Urzędnicy zajmujący się dystrybucją publicznych pieniędzy według dziennikarza nie są w stanie właściwie kreować kultury w mieście. Dopóki będzie ona służyła decydentom przede wszystkim jako narzędzie autopromocji, nie spodziewa się jakichkolwiek zmian na lepsze.

Jak żyć ze sztuczną inteligencją?

Dominika Kaczorowska-Spychalska, dyrektor Centrum Inteligentnych Technologii Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Łódzkiego, zachęcała, by nie rezygnować z technologii. Doświadczać jej, ale jednocześnie być krytycznym. – Powinniśmy sobie postawić pytanie, jakiej sztucznej inteligencji chcemy – przekonywała. – Ona jest już wszechobecna, istnieją roboty, które potrafią na przykład grać na wiolonczeli,

Korzenie na Pulsie

Paulina Ilska

„Korzenie” były hasłem XVIII Festiwalu Puls Literatury. Temat pojmowano wielo-warstwowo i szeroko, a literatura i toczące się wokół niej dyskusje okazały się dobrymi narzędziami do przyglądania się źródłom naszej tożsamości – ogólnoludzkiej, narodowej, kulturowej i rodzinnej.

W ciągu dziesięciu grudniowych dni odbyła się ogromna liczba wydarzeń. Dominowały spotkania z twórcami – prozaikami i poetami – prowadzone przez dobrze dobranych fachowców. W programie znalazły się także: odsłonięcie muralu, performansy, wystawy, ogłoszenia wyników konkursów poetyckich czy krytycznoliterackich, koncerty, a nawet karaoke. Oprócz przyznawanej od lat Nagrody Literackiej im. Juliana Tuwima powołano nową – Nagrodę Translatorską im. Ireny Tuwim, co symbolicznie przywróciło należne miejsce świetnej tłumaczce, siostrze słynnego brata, stanowiąc ciekawe dopełnienie koncepcji festiwalu. Pozwoliło też szerzej wprowadzić tematy związane z tłumaczeniami literatury, m.in. dzięki spotkaniom z nominowanymi tłumaczami. Natomiast w toku tworzenia koncepcji festiwalu nadal konsekwentnie nie dostrzega się dramatu jako rodzaju literackiego i mnóstwa zjawisk, które w nim obecnie występują.

Starając się wyłuskać spośród festiwalowych propozycji to, co najbardziej nośne, szukałam takiego sposobu odnoszenia się – poprzez literaturę i toczący się wokół niej

dyskurs – do narodowych, kulturowych, rodowych czy pokoleniowo rozumianych korzeni, który sprawia, że zaczynają one uwierać, powoduje, że chce się dążyć temat dalej, nawet jeśli to nieprzyjemne.

Dlaczego Michał Witkowski? Spotkanie autor zaczął od czytania części swojej „Autobiografii” pod tytułem „Wiara”. Trudno o solidniejszy, a jednocześnie bardziej krwawiący filar polskiej kultury, niż wiara katolicka. Można się na nieprawidłowości w Kościele wkurzać, ale nie sposób wyjąć tego „rdzenia” z naszej tożsamości. Witkowski odwołał się do wspomnień roczników 70., lekcji religii i całego katolickiego anturażu. Odwołał się po Witkowskiego: sensualnie, logicznie, obrazowo, przywołując wyraziste szczegóły, jak wygląd katechetki z rzemieniem zawiązanym na włosach czy jej zegarek, latami używany, ale nigdy nie rozpakowany z fabrycznej folii. Kościół jawi się jako miejsce kuszące, na tle szarych blokowisk ujmujące kolorami i rozmachem wnętrza, strojów, tajemnicą rytuału, wonią kadzideł. Do czasu, gdy dzieci nie zaczną się zastanawiać, dlaczego np. mają spożywać ciało Chrystusa. W dodatku w formie opłatka. Witkowski wspomniał też udrękę pozbawionych talentu narracyjnego siostr zakonnych, usiłujących prowadzić katechezę dla dzieci. Uczniowie nudzili się tak koszmarnie, że jedynym sposobem przetrwania okazywało się uporczywe wpatrywanie się w zaciek na ławce,



Magdalena
Grzebałkowska
na Festiwalu
Puls Literatury 2024

Zdjęcia: Joanna Głodek

aż dojrzy się w nim jakiś religijny motyw. W spotkaniu oprócz wskazania źródeł kryzysu Kościoła, który nie potrafił odnaleźć się w rzeczywistości lat 90. i trafić nauczaniem do wiernych, równie ciekawe okazały się odniesienia zarówno do różnych sposobów prowadzenia narracji w „Autobiografii”, jak i do życia literackiego, m.in. różnic w społecznych i finansowych realiach literackich debiutów w latach 80., 90. i 2000. Do poczucia beznadziei i braku szans. Smaczku rozmowie dodawało przeciąganie liny między Michałem Witkowskim i prowadzącym spotkanie Maciejem Robertem, który dobrze sobie radził z prowokacjami czy próbami zbicia z tropu, zwykle stosowanymi przez autora „Autobiografii” podczas spotkań.

Po dyskusji związanej z wiarą katolicką przyjrzyjmy się szarżowaniu świętości literatury narodowej. Jedną z jej ikon pozostaje Maria Konopnicka. Pisarka przedstawiana jest jako nobliwa dama, wzorzec narodowych cnót, pozytywistyczna aktywistka społeczna, a przede wszystkim wyjątkowa poetka. Ale jej poezją, podobnie jak nowelami, trudno się dzisiaj zachwycić. Książka Magdaleny Grzebałkowskiej „Dezorientacje. Biografia Marii Konopnickiej” pokazuje w obrazie Marii rysę za rysą. A im dalej, tym ciekawiej. Zaczyna się od jej życia rodzinnego, czyli wychowania przez ojca, co było w XIX w. rzadkością i dało Marii więcej (niż innym pannom) wolności, więcej czasu na lektury. Potem Grzebałkowska przybliża kolejne małżeństwa Marii ze słynnym wówczas awanturnikiem Konopnickim i jej odważne decyzje: od rezygnacji z ochrzcenia dzieci (w XIX w.!), poprzez odejście od męża, po dzielenie życia z kobietą. Dowiadujemy się też, jak sprytną życiowo była osobą i że „nie miała poczucia obciachu”, szczególnie w kwestii załatwiania czegokolwiek dla

Naprzód!

Aleksandra Talaga-Nowacka

Przyznawanie nagrody artystom przez artystów to przejaw przekonania, że twórcy reagujący na zastaną rzeczywistość, eksperymentujący i poszukujący, niezależnie od formuły działań i używanych środków, biorą odpowiedzialność za tę rzeczywistość i próbują na nią wpływać. Zarazem wspólnie budują pewien zasób, dobro kultury. Nie stanowią zatem dla siebie konkurencji, lecz współpracują – dla zrozumienia świata i rządzących nim mechanizmów.

Można to uznać za echo artystycznej wspólnotowości lat 80., co jest uprawnione tym bardziej, że pomysłodawcą łódzkiej Nagrody im. Katarzyny Kobro jest Józef Robakowski (z błogosławieństwem Niki Strzeмиńskiej, córki Katarzyny Kobro i Władysława Strzeмиńskiego), a jej realizatorami byli w pierwszych latach Adam Klimczak i Jerzy Grzegorski z Galerii Wschodniej. Czyli budowniczy owej wspólnotowości i jednocześnie spadkobiercy wspólnotowości zrodzonej kilka

dekad wcześniej – tej, dzięki której powstała Międzynarodowa Kolekcja Sztuki Nowoczesnej grupy a.r., podwalina Muzeum Sztuki w Łodzi. Fundatorami nagrody zostali kolekcjonerzy sztuki Krzysztof i Dariusz Bieńkowscy.

Pierwszą nagrodę wręczono w Galerii Wschodniej w 2001 roku. Kolejne (do 2009 roku) – także w tym miejscu. W 2011 r. uroczystość przeniesiono do Muzeum Sztuki. Tu odbywała się do 2023 r. – kiedy to Józef Robakowski wycofał stąd nagrodę w proteście przeciw działalności ówczesnego dyrektora Andrzeja Biernackiego. Elżbieta Jabłońska odebrała więc wyróżnienie w Galerii W Y. Po zmianie dyrektora (p.o. jest Daniel Muzyczuk), 7 grudnia 2024 r. wręczenie ponownie odbyło się w Muzeum Sztuki, a poprzedziło je otwarcie wystawy podsumowującej dotychczasowych 20 edycji (wystawy uzupełnionej potem o 21. edycję). Kuratorką prezentacji w ms² jest Maria Morzuch, ważna postać w historii Muzeum Sztuki, która na wernisażu

odebrała Złoty Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. W pracy nad wystawą pomagał jej młody kurator Jakub Gawkowski.

Co roku laureata Nagrody Kobro wybiera inne ogólnopolskie jury złożone z artystów. O tym, jak otwarte jest to konkretne środowisko, świadczy różnorodność dzieł uhonorowanych twórców. A byli nimi kolejno: Zbigniew Dłubak, Gerhard Jürgen Blum-Kwiatkowski, Andrzej Dłużniewski, Krzysztof M. Bednarski, Teresa Murak, Krzysztof Wodiczko, Jerzy Lewczyński, Zbigniew Rybczyński, Andrzej Lachowicz, Zygmunt Rytko, Natalia LL, Cezary Bodzianowski, Robert Rumaś, Jadwiga Sawicka, Karolina Wiktor, Piotr Bosacki, Cecylia Malik, Ewa Ciepielewska, Koji Kamoji, Elżbieta Jabłońska i Ewa Zarzycka. Twórcy doprawdy nietuzinkowi.

Artystyczna idea matronki nagrody wyznacza wprawdzie pewien kierunek – o czym na wstępie wystawy przypominają dwie kompozycje przestrzenne i jedna rzeźba Kobro – ale może być on interpretowany na różne sposoby. To po prostu kierunek „do przodu”. W ms² możemy prześledzić rozwinięcia owej strategii. Dwadzieścia jeden odmiennych koncepcji.

Oglądamy wycinek polskiej sztuki poszukującej na przestrzeni prawie 80 lat (najwcześniejsze prace pochodzą z końca lat 40.). Mimo takiej rozpiętości w czasie zestaw prac sprawia wrażenie pewnej całości. Tak też brzmi wzięty od Juliana Przybosa z grupy a.r. tytuł wystawy – „Próba całości”. Jest w tym chaosie jakaś pełnia, harmonia. A przede wszystkim jest świeżość.

Układ prezentacji został zaprojektowany czytelnie. Każdy artysta ma swój zakątek, a w nim miejsce na zwykle kilka dzieł – głównie ze zbiorów Muzeum Sztuki, dzięki czemu mamy tu wyciąg z kolekcji, który można uznać za propozycję chwilowo zastępującą zlikwidowaną przez poprzedniego dyrektora wystawę stałą „Atlas nowoczesności”.

Matematycznie wyliczone, chłodne konstrukcje Kobro, a parę kroków dalej budząca emocje, świecąca na czerwono i skierowana w cztery strony świata niczym prasłowiańskie bóstwo jarmarczna figura Madonny z wbitymi w nią monekami, dzieło przedstawiciela sztuki krytycznej Roberta Rumasa (instalacja „Las Vegas”). Po drodze – czerpiąca z codzienności, z przestrzeni publicznej sztuka Cezarego Bodzianowskiego, wypełniona jego inteligentnym poczuciem humoru. Następnie analizujące język wizualny zdjęcia i film Andrzeja Lachowicza oraz konceptualne prace Andrzeja Dłużniewskiego, które eksplorują m.in. przeciwieństwa: kobiecość i męskość, niebo i ziemię, achromatyczność i kolor. Dalej – prace Jerzego Lewczyńskiego, czerpiącego ze zniszczonych negatywów czy amatorskich fotografii (m.in. fotograficzny obiekt próbujący zindywidualizować losy postaci tworzących anonimowe masy przymusowych powojennych przesiedleńców). I nagle coś skrajnie innego – film Cecylii Malik, dokumentujący proekologiczną akcję „Odsiecz dla Warty”, oraz wzorowane na husarskich skrzydła, które mieli na sobie uczestnicy protestu przeciw zalaniu kopalnianej odkrywką wodą z rzeki. Z szacunkiem dla natury pracowała też przedstawicielka sztuki ziemi Teresa Murak, która m.in. hodowała rzeżuchę na różnych obiektach, by obserwować fazy wzrostu i obumierania, ingerowała też w krajobraz. Zygmunt Rytko najbardziej był chyba znany z pracy z przyrodą nieożywioną, którą próbował artystycznie „ujarzmiać”, rysując linie czy numery na kamieniach. Rejestrował też kamerą wyświetlane w telewizji programy. I znów skrajna odmiana – „mechaniczne” projekty Piotra Bosackiego (w tym praca dyplomowa z liceum plastycznego!). Następnie feminizująca Natalia Lach-Lachowicz, zarazem twórczyni i tworzywo – tu znalazły się m.in. jej niepokojące, przeniesione na

plótno fotograficzne autoportrety z twarzą obleczoną w pończochę, wykrzywioną grymasami. Elżbieta Jabłońska rozświetla salę neonem ze słowami „a wszystko co istnieje jest nicością”, przy czym „nicością” wymienia się na „miłością”. Druga jej praca to wyhaftowane ręcznie srebrną nicią przez bezrobotną kobietę ogłoszenie o poszukiwaniu pracy, przygotowane w ramach projektu łódzkiej Galerii Manhattan z 2003 r. (artystka oddała wówczas potrzebującej kobiecie swoje honorarium).

Zbigniewa Dłubaka zajmowała sama natura fotografii i jej granice. Mamy tu jego czarno-białe zdjęcia (w tym najstarsze na wystawie – z 1948 r.), ale i abstrakcyjne, kolorowe obrazy na płótnie. Zbigniew Rybczyński w filmie „Kwadrat” z 1972 r., kiedy był studentem Szkoły Filmowej w Łodzi, łączy figurację z geometryzacją, rozkładając kształt tańczącego człowieka na kwadratowe elementy, niczym piksele. Z kolei Jadwiga Sawicka w malarstwie i na tkaninach łączy słowo z obrazem – na potrzeby swej krytycznej sztuki używa wyrwanych z kontekstu sformułowań z newsów czy z korpomowy. Słowa są także domeną Karoliny Wiktor – niegdyś jako jedna z dwóch artystek tworzących grupę Sędzia Główny działała w dziedzinie performansu, ale gdy po udarze stało się to niemożliwe, zajęła się poezją wizualną. Jej czarno-białe prace przypominają typograficzne plakaty.

Wypowiadająca się na rzecz ochrony przyrody Ewa Ciepielewska pokazuje krzykliwe obrazy olejne, sięgające do estetyki kiczu. Ich przeciwieństwem są minimalistyczne, piękne w swojej prostocie dzieła Kojiego Kamojiego oraz ascetyczne prace Gerharda Jürgena Blum-Kwiatkowskiego: „organiczny” obraz z fragmentów odzieży robotników i seria czarnych obiektów o sukcesywnie zmniejszającej się kubaturze.

Zbigniew Dłubak, Natalia LL i Andrzej Lachowicz na przełomie 1970 i 1971 r. wspólnie wykonali instalację „RELOP

– zespół instrumentów optycznych”. To niezrealizowany projekt „urządzenia”, które miałyby wytwarzać iluzje optyczne, by uświadomić specyfikę wizualnego postrzegania rzeczywistości. Ostatnia laureatka – Ewa Zarzycka – jest autorką mówionych performansów, których treścią jest sama sztuka. Na wystawę trafił film „Utrzymanie pozycji artystycznej”, zapis akcji z 1989 r., w której symbolem balansowania na tytułowej pozycji są buty na szpilkach – artystka na koniec je odrzuca, decydując o funkcjonowaniu na własnych zasadach: jako artystka i jako kobieta.

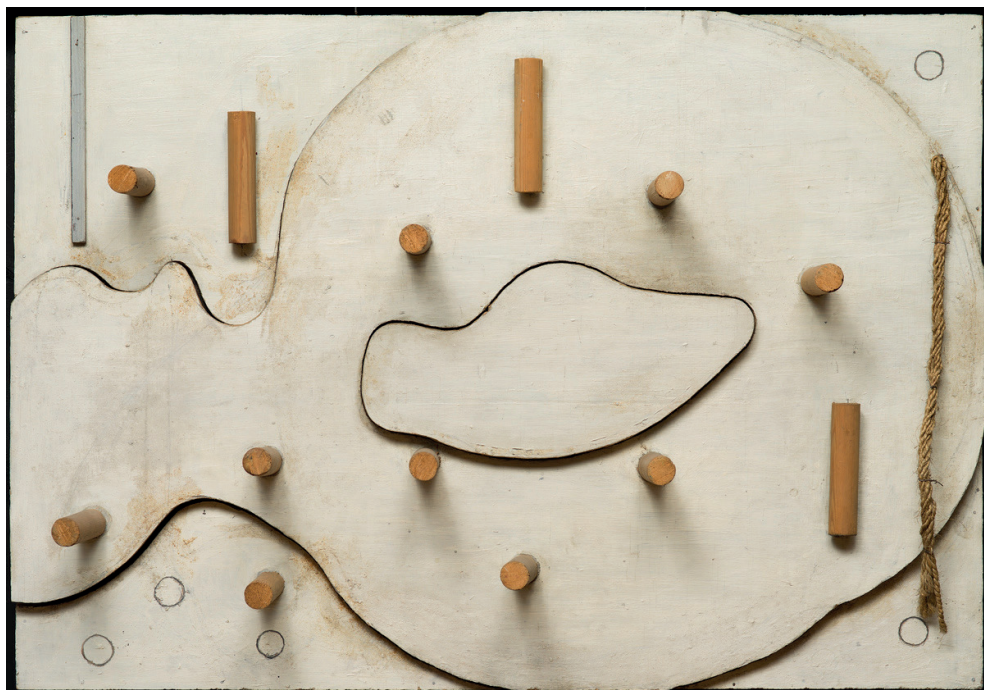
I wreszcie – dwa dzieła ikoniczne dla Muzeum Sztuki. Pierwsze to uwodzący „Moby Dick” Krzysztofa M. Bednarskiego: rozczłonkowany i odwrócony dnem do góry kadłub jachtu, do którego można wejść niczym do brzucha wieloryba, by wysłuchać dźwięków kosmosu. Drugie – autorstwa artysty rozumiejącego sztukę jako narzędzie służące włączaniu osób wykluczonych w sferę publiczną – to zrekonstruowany „Pojazd” Krzysztofa Wodiczki w formie platformy napędzanej krokami chodzącej po niej osoby. Pojazd porusza się tylko naprzód, co jest krytycznym komentarzem do wymogu nieustającego postępu.

Dziś w bogatych społeczeństwach rozwój gospodarczy wydaje się jeszcze bardziej niepoahamowany niż w latach 80., gdy powstawała praca Wodiczki. Jest też coraz głośniej negowany. Zatem przymus ogólnościowego postępu ekonomicznego – nie, ale w sztuce, jak postulowała awangarda – cała naprzód! ¶

„Próba całości” – wystawa laureatów Nagrody im. Katarzyny Kobro pod patronatem „Kalejdoskopu”. Muzeum Sztuki ms², czynna do 3 VIII, kuratorka – Maria Morzuch, konsultacja – Józef Robakowski, projekt ekspozycji – Maciej Siuda Pracownia. Wystawie towarzyszy festiwal „Różne różnice różnych”.

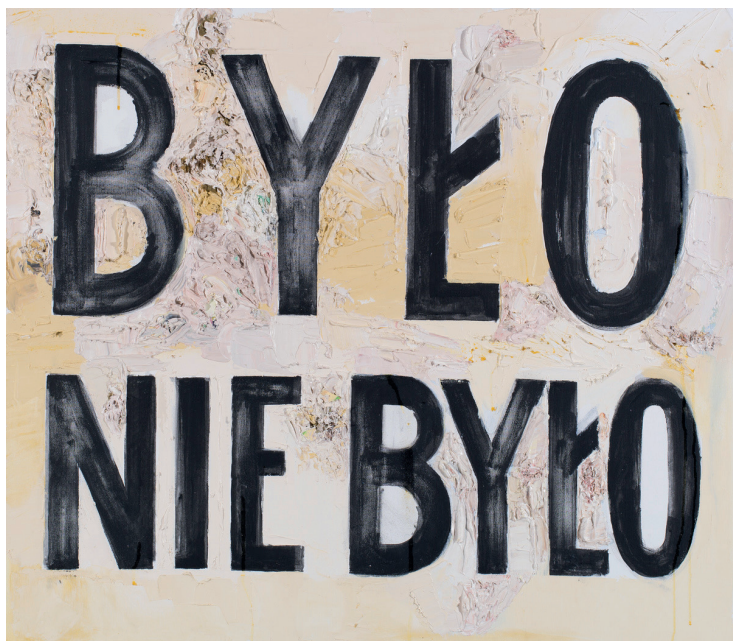
➔ Krzysztof M. Bednarski
 „Moby Dick”, stal, oliwa,
 poliester, dźwięk CD,
 1986–1987,
 Muzeum Sztuki w Łodzi

Koji Kamoji
 „Miasto i dwa słońca”,
 relief, 1964–1965,
 Muzeum Sztuki w Łodzi



→ Natalia LL
„Trwoga paniczna I”,
drewno, akryl, płótno
fotograficzne, 1988,
Muzeum Sztuki w Łodzi

Jadwiga Sawicka
„Było nie było”, olej,
płótno, 2010–2014,
Muzeum Sztuki w Łodzi



Niespełniony spacer Sztaudyngera

Nie sposób stwierdzić, ile fraszek stworzył Jan Sztaudynger. Oblicza się, że tych do publikacji napisał około pięciu tysięcy. – Myślę, że do druku przeznaczona była jedna na trzydzieści, a może nawet na pięćdziesiąt – mówi jego syn, łódzki profesor Jan Jacek Sztaudynger. W 2024 roku mija 120. rocznica urodzin poety, fraszkopisarza, satyryka, teoretyka lalkarstwa i tłumacza. Poetę urodzonego w Krakowie wojenna zawierucha przywiodła do Łodzi. Przez lata mieszkał w kamienicy przy ul. Żwirki 1c.

Bogumił Makowski

Jan Jacek Sztaudynger, profesor zwyczajny Katedry Ekonometrii na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym Uniwersytetu Łódzkiego, na pytanie o pierwsze wspomnienie ojca zamyśla się... – Nie pamiętam, czy to jest moje pierwsze wspomnienie, czy znam to ze wspomnień spisanych przez ojca, ale w głowie mam obrazek, jak wychodzi ze mną na spacer, a przy okazji ma kupić sobie papierosy. Tymczasem ja proszę go, aby coś mi kupił. Rodzicom się nie przelewało, a mama ściśle wyliczyła kwotę na papierosy. Tato musiał więc wybrać, czy kupuje papierosy, czy coś dla mnie. Wybrał zakup dla mnie i w tym momencie ostatecznie rzucił palenie. A wcześniej próbował już sześć razy.

Profesor Sztaudynger urodził się w 1946 roku i, jak mówi, był dosyć późnym dzieckiem. W tym czasie poeta Sztaudynger wydał tomik „Strofy wrocławskie”.

– Jest kilka wierszy napisanych w związku z moim pojawieniem się na świecie. Zresztą gdy urodziła się moja

starsza siostra (Anna Sztaudynger-Kalisiewicz, doktor socjologii oraz propagatorka i popularyzatorka twórczości poety, zmarła w 2023 roku – przyp. red.), ojciec też napisał z tej okazji kilka wierszy. Znalazły się one w tomie „Rymy” z 1970 roku, w którym ojciec zmarł – wspomina profesor.

Czy Janek zdawał sobie sprawę, że jego ojciec jest kimś ważnym dla polskiej literatury? Profesor mówi, że nigdy w młodości nie zadawał sobie takiego pytania. Pewnym sygnałem tej ważności były dni poprzedzające wieczory autorskie, do których poeta przywiązywał dużą wagę. Wówczas Jan Sztaudynger zamykał się w swoim pokoju na dwa-trzy dni i tam się przygotowywał. Odnośnie spotkań z czytelnikami profesor przytacza anegdotę o tym, że na jednym z nich pewien uczestnik zaproponował, żeby poeta wymyślił polityczną fraszkę. Na to Jan Sztaudynger natychmiast odpowiedział: „umówmy się jak dobrzy sąsiedzi – ja poczytam, pan posiedzi”.



Fot. z archiwum rodzinnego

Jan Sztudynger
z córką i synem
w Szklarskiej Porębie,
1948 r.

Fraszki przychodziły poecie do głowy w przeróżnych sytuacjach, po kilka równocześnie. Rymy notował natychmiast na tym, co miał akurat pod ręką: na książkach, na kalendarzu, na serwetkach w restauracji. Jan najczęściej pracował bardzo rano. Miał ochotę dalej spać, ale do głowy przychodziły i budziły go kolejne fraszki: – Siadał wówczas w kucki przy łóżku i pisał. Matka przygotowywała ojcu skoroszyty, aby te zapiski nie miały ulotnego charakteru. Ojciec nie miał określonych godzin na pisanie. Fraszkę po napisaniu były odczytywane mojej matce, czasem któremuś domownikowi, który akurat się nawinął.

Kiedyś Jan Sztudynger napisał w ciągu godziny 70 fraszek. Innego dnia 150. – Często jedna fraszka miała kilka wersji, czasami kilkanaście. Czy te wersje były liczone jako jedna fraszka, czy każda osobno? Spośród wszystkich wersji ojciec wyławiał te, które jego zdaniem były najlepsze.

Zatem raczej nie sposób stwierdzić, ile fraszek stworzył właściwie Jan Sztudynger. Oblicza się, że tych do publikacji napisał około pięciu tysięcy. – Myślę, że do druku przeznaczona była jedna na trzydzieści, a może nawet jedna na pięćdziesiąt – mówi syn poety.

Czy Jan Sztudynger chodził na wywiadówki syna do szkoły? Profesor nie pamięta. – Zresztą mój proces edukacji był trochę dziwny, bo zdeterminowany chorobą ojca. Naukę w szkole podstawowej rozpocząłem w Łodzi. Potem było Zakopane i Kraków, z którego sam przyjechałem znów do Łodzi, aby tutaj od